Nr. 35 Rok 2 Kraków, dnia 31 sierpnia 1941. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



MADAME BUTTERFLY Z SYNKIEM, AKT II.

„CZY MIAŁO KTÓRE JAPOŃSKIE DZIECKO OCZKA LAZUROWE? A USTA? A TAKIE WŁOSKI ZŁOTOPŁOWE?"

(Wewnątrz numeru reportaż ilustrowany)

Fot. Borek — I. K. P.



W LASACH KARELII

Karelia, kraj zrabowany przez bolszewików, jest pokryty w znacznej części lasami. Ilustracja u góry przedstawia fińskich żołnierzy posuwających się naprzód, obok zniszczonego, sowieckiego wozu pancernego.

Na prawo:

Uciekający bolszewicy podpalili lasy Karelii, ale w tym właśnie ogniu osaczyły ich, ścigające ich fińskie oddziały.



U góry:

FIŃSKI MARSZAŁEK MANNERHEIM

prowadzi fińskie oddziały do walki z bolszewikami. Wezwał on do boju swój naród słowami: Karelia powstaje! Wolna Karelia i Wielka Finlandia przed nami!



PRZEPRAWA KAWALERII

Także liczne rzeki w okolicy jeziora Pejpus nie są w stanie zatrzymać marszu. Ilustracja na prawo przedstawia kawalerię fińską, przepływającą jedną z rzek na północny wschód od jeziora Pejpus. Bez względu na to, jakiego rodzaju przeszkody naturalne czy sztuczne usiłują powstrzymać pochód fińskich, niemieckich, włoskich i innych sprzymierzonych z nimi oddziałów wojskowych, zawsze przezwycięży je zmysł wynalazczy i technika walki żołnierzy, którzy niepowstrzymanie prą naprzód, nadeptując wprost na pięty uciekających, albo tchórzliwie po lasach ukrywających się bolszewików.

NOCNY ATAK ODDZIAŁÓW FIŃSKICH

Karelia, bogata w różnego rodzaju surowce, należąca właściwie do Finlandii, została w roku 1917 obsadzona przez wojska sowieckie i od tego czasu systematycznie bolszewizowana. Obecnie fińscy żołnierze walczą o ten kraj, stanowiący trzecią część Finlandii. Ilustracja nasza przedstawia nocny atak fińskich żołnierzy na Sowiety, w nieprzebytych lasach na fińskim froncie. Zabici żołnierze sowieccy leżą na ziemi. Finowie przełamią wkrótce ostatni opór sowieckiej kolumny.

Fot. Ass. Press 3, Scherl 2

BITWA POD HUMANIEM



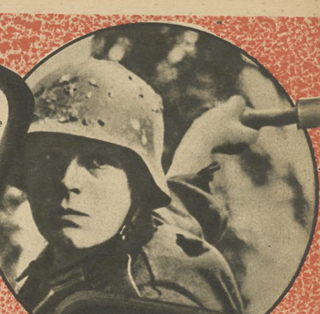


Na lewo widzimy dowódcę jednego z niemieckich oddziałów pancernych, pułkownika Guderiana, dowódcę owych do szaleństwa odważnych ludzi, którzy rozbijają i niszczą armię sowiecką, w coraz to nowych bitwach osaczających.

Ilustracja na prawo przedstawia, zmiażdżone pod ciosami niemieckiego oręża, resztki pozycji i wozów pancernych. I tu zniszczono z łatwością nawet najcięższe tanki sowieckie.



W niekończących się pochodach maszerują, przygnębione i zobojętniałe resztki, wciąż przez niemieckie oddziały okrążanych sowieckich dywizji, do niewoli. Wielu innych sowieckich żołnierzy leży obok siebie w wielkich grobach zbiorowych.



Na lewo:
Niemieckie pancerniki w walce o jedną z sowieckich miejscowości; wypędzają one z niej bolszewików.

Na prawo:
Ręczne granaty dojeżdżają do żywego przeciwnikowi, aż doprowadzą do zniszczenia go, lub poddania się.



Nie tylko broń pancerna przyczynia się w znacznej mierze do zwycięstw, również piechota i pionierzy dokonują bohaterskich czynów. Na ilustracji widzimy atak pionierów i piechoty na jeden z bunkrów sowieckich.



Lekki karabin maszynowy, obsługiwany przez ϟϟ, bierze również udział w zwalczaniu nieprzyjacielskiego oporu w bitwie pod Humaniem.



Dowódca niemiecko-rumuńskich oddziałów, generał Antonescu otrzymał od Führera Krzyż Rycerski do Żelaznego Krzyża za oswobodzenie Bessarabii i Bukowiny od bolszewizmu.





Fot. Ass. Press (5)
Scherl (4)
Atlantic



Także węgierska armia Honwedów odnosi duże sukcesy we wspólnych walkach przeciw bolszewikom. Na ilustracji widzimy węgierskich oficerów przesłuchujących bolszewickiego jeńca.



Włoski korpus ekspedycyjny zdobył sobie również sławę w walkach z bolszewikami. Na ilustracji włoska obrona przeciwlotnicza zabezpiecza pochód jednego z oddziałów na wschodnim froncie.



Marszałek sowiecki Budienny, dziś jeden z pokonanych dowódców, stracił w czasie bitwy okrążającej na Ukrainie całą swoją armię, a z nią sławę niezwyciężonego marszałka Sowietów.

Zaraz na początku obecnej wojny okazało się, że Niemcy zastosowali całkiem nową taktykę ataku. Niemieckie oddziały wdarły się kilkunastoma klinami w zwarte szeregi polskiej armii, kliny te łączyły się następnie ze sobą i chwytając przeciwnika, jakby w kleszcze, otaczały go i osaczały. Coraz silniej zacieśniał się pierścień wojsk około takich kotłów, a uniemożliwiając przebicie się, zmuszał je wreszcie do poddania.

Również w wyprawie wojennej na Zachód podobna metoda walki, w krótkim czasie doprowadziła do zwycięstwa oręża niemieckiego, gdy belgijskim i francuskim oddziałom — nie biorąc pod uwagę bardzo małych liczebnie angielskich — mimo rozpaczliwych zmagań, nie udało się zniszczyć lub unieszkodliwić tej niemieckiej taktyki osaczania.

I obecnie podczas wyprawy na bolszewików, w walce z Rosją Sowiecką jesteśmy po raz trzeci świadkami zwycięstwa tego systemu walki. Od samego początku ostatniej wyprawy na Wschód, znów celem niemieckiej armii było przede wszystkim rozbicie frontu sowieckiego na większą ilość mniejszych czy większych osaczonych grup. Te bitwy osaczające nadają specjalną cechę obecnej wyprawie wojennej. Podczas gdy front niemiecki długi na przeszło 1 000 km, między Przylądkiem Północnym a morzem Czarnym zwolna, ale nieustannie posuwa się naprzód, w tyle poza frontem zamykają się coraz ciaśniej i mocniej kleszcze utworzone z niemieckich oddziałów, dokoła osaczonych jak w kotle wojsk rosyjskich.

Rozbijają one wreszcie te kotły i niszczą zamknięte w nich dywizje sowieckie, które muszą przy poddaniu się oddać zwycięzcy swój zupełnie niezniszczony sprzęt wojenny. Rozbicie każdego takiego kotła zbliża nieuchronnie zagładę sowieckiej siły zbrojnej. Coraz to nowe dywizje padają, coraz to większymi są straty sowietów w ludziach i materiale, coraz dotkliwszymi są nie dające się niczym zastąpić szkody.

Właśnie w ostatnich tygodniach powtórzył się na Wschodzie szczególnie efektownie zwykły proces osaczania. Bitwa pod Humaniem, o której zwycięzkim przebiegu donosił w tych dniach komunikat naczelnej komendy niemieckich sił zbrojnych, jest znamiennym przykładem niemieckiej taktyki walki i niszczenia, i stanowi również nowy dowód przewagi niemieckiego oręża i niemieckiego ducha wojennego, którym nic oprzeć się nie może, ani liczebna przewaga, ani olbrzymie przestrzenie Rosji. Położone w połowie drogi między Odessą a Kijowem miasteczko Humań, od którego ta ostatnia bitwa otrzymała nazwę, było środkiem wielkiego kotła o średnicy około 400 km. Co to znaczy przy jakości dróg rosyjskich, których tam prawie całkiem brak nie potrzeba właściwie podkreślać. Należy zaznaczyć przy tym, że sowieccy żołnierze pod presją swych politycznych komisarzy bronili się do upadłego, aż dopiero piekło grozy, aż dopiero blada śmierć, aż dopiero fale zniszczenia toczące się coraz to bliżej, coraz to okrutniej, zastawały gromadę ludzi pozbawionych woli ze zmęczenia i trwogi. Żołnierze sowieccy wstrząśnięci i miażdżeni nieustępliwie naprzód prącym niemieckim atakiem, mają już tylko jedno życzenie: jak najszybciej pozbyć się tej strasznej a bezsensownej męki.

Zysk ze zwycięstwa odniesionego w tych potężnych bitwach osaczających, nie leży tylko w liczbie zabranych jeńców, w olbrzymiej ilości zdobytego sprzętu wojennego. Zapewne, że i te zdobycze są ważne i znaczne: 103 000 jeńców, w tym dwóch dowódców armii, 517 wozów pancernych, 858 dział, 242 dział przeciwlotniczych, 5 250 motorowych wozów ciężarowych i wiele innego jeszcze materiału wojennego jak podaje pierwszy pobieżny obrachunek. Ważniejszą jednak niż to wszystko jest zdobyta przestrzeń, przestrzeń, która ciągnie się aż po leżące nad Morzem Czarnym portowe miasto Mikołajew, ważniejszym również jest fakt, że przestrzeń ta obejmująca ważny przemysłowy obszar, bogaty w surowce, dostała się w ręce Niemców. Niesłychanie ważne również znaczenie mają te ciągłe i stałe powtarzające się niszczące ciosy i klęski jakie spadają na armię sowiecką. Nie tylko łamią ducha oporu tej armii, ale i silnie deprymująco działają na ludność cywilną. Tak np. osaczenie armii sowieckiej i bitwa pod Humaniem stała się dla samych bolszewików synonimem wszystko niszczącego huraganu, jakim rzeczywiście była ta bitwa dla całej zachodniej Ukrainy. Tu rozegrała się główna gra o całe południowe Naddnieprze, tu właściwie padło rozstrzygnięcie przesądzające dalszy zwycięski pochód niemieckiego oręża na Wschodzie.

WIELKIE OSZUSTWO

Pan Medyceusz Piernik był ogrodnikiem. Mieszkał w małym domku w ogrodzie, strzegąc jak oka w głowie każdego drzewka. A w sadzie drzewa dawno już okwitły, i gałęzie uginały się od niedojrzałego owocu. Szczególnie obrodziły jabłonie, i pan Medyceusz klepał się po kieszeni, a gest ten oznaczał przyszłe jego nadzieje. Te ostatnie nie były bardzo skomplikowane. Wyrażały się w dwóch słowach: napełnienie kabzy. Cieszył się więc pan Piernik wielką nadzieją obfitych zbiorów. Minęła połowa lipca, a w tym okresie dojrzewają jabłka, przez pana Medyceusza zwane lipcówkami. Z jabłek tych jest zwykle największy zysk, a że lipcówki doskonale tego roku obrodziły, więc nic dziwnego, że pan Medyceusz był w świetnym humorze. Wstawał wczas rano, piszczał trochę na flecie, po tej zaś muzykalnej czynności wybiegał do sadu i tam siedział cały dzień. Z lubością przypatrywał się gruszom i jabłoniom, mrużył oczy patrząc na olbrzymie włoskie orzechy i węgierskie śliwy. Cały dzień czytywał dzieła przyrodnicze, w myśli prowadził uczone rozprawy o florze i faunie, oraz szacował drzewa. Tyle czynności miał pan Medyceusz.

Z sąsiadami żył w zgodzie, i zadowolony z ludzi i z siebie prowadził ciche, spokojne życie... A naprzeciw ogrodu pana Medyceusza mieszkało czterech braci, którzy kolejno, podług swego wieku zajmowali ważne stanowiska w społeczeństwie. Czterej bracia Burczyńscy znani byli w całym województwie wszystkim komisarjatom policyjnym. To jednak nic nie znaczyło. Opinja sąsiadów co do braci Burczyńskich była jak najlepsza. Bowiem szanowni braciszkowie „pracowali" na dalszych terytorjach, z sąsiadami żyjąc jak najlepiej. Przewodnik rodzinnego grona młodszych braci siedział ostatnio dwa lata w więzieniu, i od dwóch tygodni był już „na wolnej stopie", skrzętnie „pracując" dla wspólnego dobra. Co tydzień odbywały się „rodzinne narady" czterech braci, podczas których wspólnie uchwalano przyszłe „prace", a raczej, ściśle mówiąc, przyszłe „wizyty". Podczas jednej z takich „narad", jednemu z braci przyszła myśl wypłatania figla, poniekąd bardzo niewinnego, na rzecz pana Medyceusza Piernika. Plan cały przedstawiał się w ten sposób, że gdy wieczór zapadnie, wszyscy, po jednemu dla ostrożności, przekradną się do sadu pana Piernika, i tam, z jednej tylko jabłoni zjedzą wszystkie jabłka... Najstarszy brat Antek, łaskawie udzielił zezwolenia na wykonanie tego planu...

Wyprawa do sadu została jednogłośnie zatwierdzona...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Był ciepły lipcowy wieczór... Gdzieś z pobliskiego jeziora dochodziły rechotania żab i z głębi lasu płynęły na falach wiatru głosy usypiającej przyrody. Księżyc sypał na śpiącą ziemię skry srebrzystego światła... Nastał jeden z tych wieczorów, które poeci nazywają romantycznym... W taki to romantyczny wieczór do sadu pana Medyceusza zakradły się cztery ciemne postacie, rozglądając się ostrożnie dokoła... Byli to właśnie czterej bracia Burczyńscy, idący na jabłka... Stanęli pod wielką jabłonią, którą obrali sobie za cel swej żarłoczności i rozpoczęli zrywanie niedojrzałego owocu.

Lecz jeden z czwórki okazał się dbałym o dobro ogółu, bo spytał cicho:

— Ty, Stefek, a pytałeś się starego, czy jabłka dojrzałe?...

— Oczywiście, powiedział, że jutro będzie zrywał...

— No, jak tak, to możemy jeść — zakomenderował Antek.

Po chwili słychać było pracowite mlaskanie i sapanie, — co oznaczało, że „bratnie grono" zajęte jest konsumowaniem niedojrzałych jabłek...

Teraz znów raczył się odezwać sam Antek:

— Ale wiecie co, chłopcy, że te jabłka to jakieś kwaśne i... bo ja wiem, takie jakieś...

— E, głupstwo, tak ci się pewnie zdawało, to przecież jabłka deserowe, czy kompotowe, więc muszą być trochę kwaśne — uspokoił Antka Franek, który był podobno bardzo mądry.

— Tak, tak, pewnie kompotowe — potwierdzili wszyscy, jedząc smakowicie...

Zdziwił się pan Medyceusz, gdy wstał rano i ujrzał ślady butów na trawie. Lecz zdumienie jego nie miało granic, gdy wypiszczawszy się na flecie, poszedł do sadu. Oto wielka lipcówka świeciła pustką. Wprawdzie były gałęzie i trochę liści, ale gdzież jest dwa metry jabłek!!? Cały dzień chodził jak pijany. Przyszedłszy do domu upadł na fotel i patrzył długo, bezmyślnie w jeden punkt. Myśli jego krążyły w około jednego pytania:

— Kto zerwał te niedojrzałe jabłka?!...

Gdyby chociaż wiedział kto jest złodziejem, no, to pal sześć jabłka, ale tak...

I pan Medyceusz wpadł w czarną rozpacz w zielone kropki... Siedział długo, straciwszy poczucie czasu, gdy nagle drzwi z trzaskiem otworzyły się i weszło ...czterech braci Burczyńskich!!...

Gdyby się cały dom zawalił, lub w ziemię zapadł, pan Medyceusz nie zdziwiłby się tak, jak teraz, gdy zobaczył u siebie braci Burczyńskich. Wprost osłupiał. Ale opamiętał się szybko, i podsuwając krzesła bąkał:

— Proszę, panowie pozwolą...

— Pewnie, że se siedniemy — rzekł Antek, siadając.

Pozostali uczynili to samo.

Pan Medyceusz Piernik usiadł także i odchrząknął:

— Zdaje mi się, że panowie mają do mnie jakiś interes, prawda?...

Potwierdzili, kiwając głowami jak konie.

— Zgadłem, a więc czym mogę służyć?

— Panie tego, a coś pan taki uprzejmy? — spytał Antek, a zwracając się do braci:

— Widzicie chłopcy, pan Medyk pyta się, czym nam może służyć! Chyba doktorem, ja myślę!...

— I ja też tak myślę — jęknął Stefek — Uch, jak mnie pierońsko ten żołąd boli!...

A Antek skurczył się we dwoje i jak prokurator spytał grobowym głosem:

— Panie Medyk, jak pan myśli, czyś pan popełnił oszustwo, albo nie?...

— Jakie oszustwo — zdumiał się pan Medyceusz.

— No, nie udawaj pan frajera. Ale jak pan nie wiesz o co chodzi, to możemy rzecz całą wygadać.

— Proszę — skłonił głowę z rezygnacją...

— Zapewne mój brat nadobny, Stefek znaczy się, miał zaszczyt pytać pana, czy jabłka dojrzałe, co, jak to było?...

— Tak, wczoraj pytał mię o to — odparł pan Piernik.

— I pan powiedziałeś że już?...

— Tak.

— Bardzo pięknie, a myśmy się przekonali że jeszcze nie, ponieważ... Antek nie mógł dokończyć. Chwyciły go kurcze żołądka i jęcząc wybuchnął:

— Niech szlag trafi tę jabłonkę i wszystko!!...

Pan Medyceusz siedział nieruchomy z radości. Wiedział już teraz kto był złodziejem jego jabłek.

— Ha-ha-ha, — śmiał się w duchu. — Amatorzy na kwaśne jabłka, i do tego bliscy sąsiedzi!!

Zaległa chwila milczenia.

Pan Medyceusz Piernik rozkoszował się swym triumfem nad niefortunnymi złodziejami, a bracia Burczyńscy rozkoszowali się boleściami, które były namacalnym dowodem, że niedojrzałe jabłka nie były ich własnością.

Obustronne milczenie przerwane zostało nowym wybuchem Stefka, którego wcześniej opuściły kurcze żołądka od reszty braci:

— No i cóż pan ma na swoje usprawiedliwienie, panie Medyk?... — Uch, jak mnie boli! Prawdę mówiąc, to popełniłeś pan wielkie świństwo!... I jeszcze do tego takim porządnym ludziom jak, my jesteśmy.

To jest poprostu wielkie oszustwo!! — zatrąbił Antek.

— Tak, tak, to jest wielkie oszustwo!! — zawtórowali bracia Burczyńscy, jęcząc przejmująco...

Zenobiusz

ZEMSTA FRYZJERA

Pan Julian Bąk miał przy ulicy Kruczej mały zakład fryzjerski, pełen zawsze wytwornej, podmiejskiej klienteli. Wytężająca praca wymaga pokrzepienia, toteż pan Julian przerywał dwa razy dziennie swe zajęcie i szedł do pobliskiego baru pana Józefa Ciuchny „na jednego". Ale pan Józef miał zwyczaj nie wydawania przyjacielowi reszty z zapłaconych pieniędzy, a gdy pan Julian upominał się o należność zawsze słyszał: „Nie mam drobnych, jutro resztę..." Powtarzało się to dość długo i wyczerpało wkońcu cierpliwość eleganckiego pana Juliana.

Pewnego ranka przyszedł właściciel baru do fryzjera, zdjął swą białą bluzę i kazał się ogolić. Pan Julian poprosił go o zajęcie miejsca na okazałym krześle do golenia i począł go namydlać. „Nie wstąpiłeś dziś do mnie na jednego", powiedział namydlony i splunął nieco piany, która mu do ust weszła. „Nie miałem czasu", odpowiedział fryzjer, „a teraz siedź cicho, wszakże mogę cię ciut, ciut, zaciąć w obliczę". Z największą starannością oskrobał pan Julian połowę twarzy swego klienta, potem jednak odwiązał białą chustkę, którą pan Józef miał pod brodą i powiedział z obojętną miną: „Dziękuję, skończyłem". Ogolony do połowy pan Ciuchna śmiał się z żartu i z początku nie ruszał się z miejsca. Potem jednak zobaczył, że fryzjer zajął się innym klientem i zawołał zirytowany: „Te, Julek, cóż to, odstawiasz poniekąd drakę z porządnego obywatela? Ogólże mi resztę fizjognomji". Pan Julian spojrzał na niego wzrokiem pełnym gryzącej ironii: „Poco resztę? Faktycznie ty nie dajesz swym klientom reszty. Dopiero, gdy mi oddasz resztę pieniędzy, ogolę ci resztę oblicza. Do dziś jesteś mi winien 8 złotych". Co potem nastąpiło opowiadał pan Józef, wciąż jeszcze na pół ogolony i namydlony, w komisariacie policji. Była przy tym mowa o uderzeniu szczotką, którą otrzymał w nos i o kopnięciu, którym on, broniąc się, rozbił szklaną konsolę i wyrzucił w powietrze kosztowne flaszeczki i miseczki. Fryzjer, który również się zjawił, obliczał szkodę otrzymaną przy nieco żywej wymianie słów na 85 złotych, dodał do tego 5 złotych niewypłaconych reszt, tak że rachunek opiewał na równe 90 złotych. Po dłuższym namowach ze strony pana dyżurnego, obaj poważnieni przyjaciele ugodzili się w ten sposób, że dla wyrównania swej pretensji, będzie pan Julian pił przez półtora miesiąca w barze pana Józefa co dnia po dwie czyste. Wychodząc już z komisariatu pan Józef zawołał: „Ale co będzie z moją brodą do połowy ogoloną? Co z tym będzie?" Pan dyżurny zaproponował mu, by powrócił do swego byłego przyjaciela. Ale panu Józefowi wydawało się rzeczą zbyt niebezpieczną powierzać swe gardło człowiekowi, z którym niedawno odbył pojedynek słowny. I niebawem ujrzano na ulicy osobliwie wyglądającego pana, z jednym policzkiem gładko ogolonym, podczas gdy drugi posiadał silny zarost, wchodzącego do sklepu żelaznego i kupującego maszynkę do golenia.

Próżność przedłuża życie

Bardzo często zarzuca się paniom próżność. Pewien uczony amerykański twierdzi jednak, że jest ona wielką zaletą i działa jak eliksir życia. Badał on dlaczego kobiety w wielu krajach dłużej żyją od mężczyzn i odkrył, że kobieca próżność odgrywa w tym dużą i dodatnią rolę. Sądzi on, że wyrażenie „próżność" jako zawierające pewną naganę należy zupełnie pominąć i nazwać chęć upiększenia się kobiet „dbaniem o siebie". To dbanie o siebie przynosi niesłychane korzyści hygieniczne. Gorliwa troskliwość, którą kobieta poświęca swym zębom, pielęgnacja rąk i stóp, codzienne ćwiczenia gimnastyczne, odpowiednia dieta, częste kąpiele, wszystko to wywiera dobroczynny i bezpośredni wpływ na zdrowie. Jeszcze ważniejszym jest duchowy wpływ tak zwanej próżności na zdrowie. Kobieta źle ubrana czuje się całkiem inaczej niż elegantka, jest ona przygnębiona i znosi o wiele tragiczniej przykrości życia. Dobrze ubrana kobieta ma o wiele lepszy humor.



SHIRLEY TEMPLE TRENUJE „COMEBACK"

Shirley Temple, ongiś największy magnes kasowy filmu amerykańskiego, trenuje obecnie nowy taniec „comeback". Dwunastoletnia już teraz Shirleyka bierze lekcje tańca razem z dwoma komikami Olle Olseñem i Chick Johnsonem. Ciekawą jest rzeczą, czy małej Shirleyce uda się skok od maleńkiej gwiazdki do wielkiej [illegible] filmowej.



POWAŻNA SYTUACJA

Gra w golfa obfituje tak samo jak i wszystkie inne w wiele momentów poważnych. I tak widzimy na zdjęciu, jak amerykański mistrz w grze w golfa przy pomocy swego służącego i bardzo zgrabnego skoku na drzewo wybija bardzo ciężką piłkę z trawy. W ten sposób udało mu się zakończyć z dobrym wynikiem półfinał o mistrzostwo w Briarcliff Manor, w stanie New York.

Fot. [illegible]



KONKURS BLIŹNIAKÓW

Na konkursie bliźniaków, który się odbył w Chicago, zostały uznane za najbardziej podobną parę bliźniaków siostry Patricia i Marcy Hallet. Na zdjęciu widzimy jednak, że dość łatwo odróżnić obie siostry. Mają one siedemnaście lat i mieszkają w Lagrange, w stanie Illinois.

Przez rozbicie sowieckiego pociągu transportowego na linii Odessa—Nowa Ukrainka, (na prawo) straciły wciąż napływające dywizje sowieckie możność ucieczki, tak że pozostaje im tylko, albo całkowite zniszczenie lub niewola niemiecka.

Bomby na Sowiety

Obładowane ciężkimi bombami osiągają niemieckie bombowce błyskawicznie szybko swój cel: transporty wojskowe i uciekające dywizje sowieckie.

Kolumny sowieckie posuwają się po gościńcu. Ale niemieckie bomby rozbijają je i powodują przez to na drogach powrotnych straszny nieład.

Niemieckie bomby rozbijają również linie kolejowe. Pociski trafiają najdokładniej szyny i uniemożliwiają ruch kolejowy, dowóz rezerw i odwrót.

WOJNA NA ZNACZKACH

Nie wiadomo, kto był pierwszym zbieraczem — mania ta powstała zdaje się równocześnie we wszystkich krajach cywilizowanych, a epokową była chwila, gdy w Ameryce zrozumiano znaczenie propagandowe jakie mogą odegrać znaczki okolicznościowe. Od czasu pojawienia się w obiegu serii przedstawiającej życie Kolumba i odkrycie Ameryki, wysiłki idą w tym kierunku, aby emitować coraz to piękniejsze i ciekawsze znaczki. Samo zestawienie egzemplarzy reprodukowanych w naszym numerze wskazuje, że nie ma po prostu sposobu walki, którego byśmy nie mogli się na nich doszukać. Jest to mały skrót rozwoju sztuki wojennej, który możnaby z łatwością uzupełnić jeszcze na podstawie dalszych znaczków. Takie omówienie przekroczyłoby wtedy ramy zwykłego artykułu, a zresztą rozmaite znaczki południowo-amerykańskie nie są dla nas interesujące.

Na znaczkach egzotycznych widzimy dzikich Papuasów czy Buszmenów z łukiem w ręku, natomiast w Europie widocznie jeszcze pod Sempach w roku 1386 Szwajcarzy walczyli z dzidami w ręku. Na znaczku tego kraju, który ukazał się niedawno, widzimy właśnie wojownika, który powalił już wroga na ziemię i okutą maczugą zadaje mu śmiertelny cios. Jest to dziwny zbieg okoliczności, że istnieją jeszcze dwa „wojownicze" znaczki, przypominające wydarzenia z okresu tego pięciolecia. Oto obraz bitwy pod Aljubarrota, ważnej w dziejach Portugalii w 1385, i (na innym znaczku) podobizna Miłosza Obilicz. Ten bohater narodowy Serbów poległ w bitwie na Kosowym Polu (1389) zgładziwszy tam sułtana tureckiego. W podobnej zbroi jak Obilicz walczył wódz portugalski Gonzalo Mendes z Maurami.

Mimo wynalazku broni palnej rycerze, którzy brali udział w turniejach, nosili jeszcze długo pancerze ze stali i walczyli na rumakach chronionych zbroją od ciosów kopij. (Znaczek W. M. Gdańska). Przenieśmy się jednak ze średniowiecza do czasów współczesnych. Obok na znaczku austriackim z okresu wojny światowej obserwujemy pięciu strzelców mierzących do wroga. Stoją oni w rowie wykopanym w śniegu, bo w takich rzeczywiście warunkach walczono wówczas przy obronie linii Karpat. Na dalszym znaczku przedstawił rysownik obok dwóch grenadierów zabitego żołnierza z porzuconą maską gazową, która na szczęście była tylko zbędną częścią ekwipunku w obecnej wojnie. Seria znaczków włoskich wydana z okazji stulecia wprowadzenia złotego medalu za dzielność, jest jedną z najpiękniejszych wśród znaczków o motywach wojskowych. Widzimy bowiem m. i. jak strzelcy alpejscy zdobywają zupełnie stromą ścianę górską, i jak saper przecina nożycami druty kolczaste założone przez nieprzyjaciela. Specjalny kształt hełmu jak i doskonała stal uchroniła wiele tysięcy walczących od ran w najbardziej wrażliwą część ciała. Model hełmu niemieckiego widzimy dokładnie na znaczku, który ukazał się w roku 1935, w dniu poświęconym pamięci poległych w wojnie światowej.

Tak jak na lądzie tak i na morzu walczą ludzie od zamierzchłych czasów. Egipska galera, popychana 15 parami wioseł, nie stanowiłaby poważnego przeciwnika dla fińskiego okrętu uzbrojonego w szereg dział. Ten ostatni statek byłby mizernym przeciwnikiem floty państw zachodnich, która pod Navarino zatopiła całą „armadę" turecką w 1827, ale wszystkie ówczesne sprzymierzone eskadry nie sprostałyby jednemu austriackiemu dreadnotowi, jaki widzimy na ostatnim znaczku z morskiej serii (rok 1915). Ostatnie czasy przyniosły pewnego rodzaju rozwój wsteczny. Ścigacze i kontrtorpedowce stały się postrachem wrogów, a ze względu na swą szybkość mogą łatwiej uniknąć bomb lotniczych. Uzbrojoną motorówkę widzimy na znaczku włoskim, a postać marynarza przedstawia znaczek sowiecki.

Na znikomej tylko ilości znaczków widzimy rysunki armat. Austriacki moździerz o kalibrze 35 centymetrów uwieczniono na małym znaczku, tak że nie widać dokładnie szczegółów, i tylko na jednym włoskim znaczku możemy oglądać tzw. „polówkę".

Rozwój lotnictwa — młodszego od filatelistyki — mógłby być już przedstawiony o wiele dokładniej, tak że możemy tylko zamieścić najbardziej charakterystyczne egzemplarze. Nie umiano wtedy wybudować modelu o liniach opływowych, i przy tego rodzaju podwoziu i układzie skrzydeł nie można było marzyć o uzyskaniu większych szybkości. Ogromnie zajmujący jest jeszcze jeden rysunek na włoskim znaczku. „I fedeli d' oltremare" wojska kolorowe posuwają się jako patrol na pustyni, nad nimi przelatuje samolot wywiadowczy, a z boku na wyniosłości czuwa patrol na wielbłądach.

— ja —







Madama Butterfly

Dawno nie miała w Krakowie opera takiego powodzenia, jak ma je obecnie. Wytłomaczenie tego zainteresowania znajdujemy po prostu w tym, że rzadko kiedy obsada wszystkich ról stała na tak wysokim poziomie, jak to miało miejsce ostatnio na premierze opery Pucciniego „Madamme Butterfly". Świadczy to pochlebnie o kierownictwie artystycznym, które nie szczędzi kosztów, ani trudu, aby tylko dać publiczności imprezę, jakiej nie powstydziłby się Kraków w czasach najlepszej „prosperity" teatralnej. Helena Lipowska, primadonna opery warszawskiej w roli tytułowej, Stanisław Drabik, nasz słynny tenor, w roli Pinkertona, Zenon Dolnicki w roli konsula, Zofia Halińska jako Suzuki, Karol Urbanowicz w roli Bonza — oto zespół, który może porwać najchłodniej nawet ustosunkowanego widza. A przecież publiczności krakowskiej nie można zarzucić, aby jej stosunek do sztuki był obojętny. To też premiera była jedną wielką owacją publiczności pod adresem tego świetnego zespołu. Nadzwyczaj również korzystnie wypadły młodsze siły jak Maria Feherpataky, Jerzy Lipka, doskonały w roli Gora, oraz Czesław Kozak, którego piękny baryton musiał się podobać każdemu.

Część powodzenia opery należy zapisać na konto doskonałej orkiestry kameralnej, która pod batutą kapelmistrza dyr. Stefana Barańskiego stworzyła odpowiednie ramy dla występu artystów. Orkiestra ta, w której part fortepianowy odegrała Halina Ekierówna, stanowi dzisiaj pierwszorzędny zespół. Do poziomu całości dostroił się także chór mieszany.

Całość opery robiła imponujące wrażenie, aczkolwiek możliwości sytuacyjne na małej scenie Starego Teatru stawiały reżyserowi znaczne przeszkody. Zostały one jednak zwycięsko pokonane, a oprawa dekoracyjna nie pozostawiała nic do życzenia. „Madamme Butterfly" znalazła się na ustach całego kulturalnego Krakowa, który z uznaniem podkreśla wysiłki i starania organizatora imprez operowych Stanisława Drabika. Udowodnił on, że jest nie tylko świetnym tenorem, ale także potrafi zakasować swoimi pociągnięciami organizacyjnymi niejednego w tym zakresie specjalistę.

P. Jerzy Lipka jako Goro

— Ładna ta narzeczona?
— Istna wiązanka rozkosznych kwiatów!
Świetlna gwiazdka pełna blasków złotych!
Za sto jen to nie drogi skarb!
Racz Wasza Miłość tylko chcieć...

— Powiedz, jakże nazywasz się?
— No powiedz: dziś moje imię
„Żal i Smutek", bo nam źle...
Lecz gdy mój ojczulek wróci...

— Ach gdybyś chciała...
— Niestety, to daremne.

...Zezwalamy, by tu obecny Benjamin Franklin Pinkerton, porucznik w służbie statku wojennego „Lincoln", i tu obecna panna Butterfly, małżeński dziś zawarli ślub...

...Wtem zdala się ukaże w ludzkim tłumie
Ktoś niby punkt czarniawy
I ujrzę go w szczęsną chwilę!

...On choć miał serce smutne
Widząc mnie tak żałosną,
Tak mi odrzekł z uśmiechem:
„O Butterfly, żoneczko moja mała,
Wrócę tu znowu z wiosną, gdy róża kwiat rozpęta".

Oto on! zbliża się!
Przystanął znów i czeka
Jego wzrok szuka mnie
Woła w głos: Butterfly! Już tam zdaleka!

— Tyś moja!
— Ach, sercem całym!

P. Zenon Dolnicki jako [illegible]sul Scharpless

P. Helena Lipowska jako Madame Butterfly i p. Stanisław Drabik jako porucznik marynarki Pinkerton.

Fot. Borek I. K. P.

Mistrz dusz

Napisał
Gjuro Vilović

Dokończenie

Autoryzowany przekład z chorwackiego W. Podmajerskiego

STRESZCZENIE DOTYCHCZASOWYCH ODCINKÓW:
Do wsi Vrela, prowadzącej od 57 lat walkę z proboszczami przychodzi nowy proboszcz, don Lovro, który przez swój osobisty urok, godzi wieś z diecezją. Don Lovro opuścił dawną parafię dlatego, że mieszka tam nauczycielka Maja, która kocha księdza i którą też ksiądz kocha. Kancelaria biskupia, zdumiona tak prędką zmianą nastroju we wsi Vrela, przysyła proboszczowi wikarych na naukę władztwa dusz. Jednakże służący proboszcza i zarazem jego kucharz i zaufany, Vito, obawiając się, by przez przybycie tych wikarych nie zmniejszył się wpływ proboszcza na ludzi, doprowadza do tego, — sposobami zupełnie zresztą niewinnymi — że kapelani opuszczają dobrowolnie wieś. Trzeci kapelan zdobywa sobie jednakże miłość wsi i to nie tylko dzięki osobistemu urokowi, lecz także dzięki głębokiej wierze, która z niego promieniuje. Nauczycielka Maja przysyła tymczasem list za listem, w których tęskni za don Lovrem i w których daje mu poznać, że opuszczenie dawnej parafii było ze strony don Lovra aktem ucieczki przed nią, co jest zgodne z prawdą. Don Lovro, jedzie do niej na kilka dni, potem wraca. Tymczasem toczy się życie we Vrelach swoim trybem, wieś podzieliła swoje uczucia pomiędzy obu księży, co bardzo martwi Vita, zazdrosnego o powodzenie swego pana. Po kilku miesiącach proboszcz otrzymuje list od Mai, w którym ta donosi mu, że zostanie matką. Don Lovro jest przerażony, gdyż fakt ten uważa za przeszkodę dla swojej działalności kapłańskiej. Chcąc zyskać na czasie, wyjechał z wycieczką do Ziemi Świętej. W międzyczasie Maja zjawiła się na plebanii i czeka na niego. W krótce proboszcz wrócił. Zaczyna się w nim walka między obowiązkiem kapłana i człowieka.

— Obrońcie ich — rzekł z siłą kapelan.
— Jak? — spytał proboszcz prędko, niespokojnie.
Kapelan milczał i nie odpowiadał.
Przez zamknięte okna i spuszczone zasłony dochodził głuchy, nieartykułowany szum wsi z kościelnego dziedzińca.
— Vito, zejdźcie do mojego pokoju i obserwujcie, co się dzieje — rzekł kapelan spokojnie do Vita.
W bibliotece żył jeszcze i rósł w siłę burzy i w nieskończoność szept kapelana:
— Obrońcie ich.
Proboszczowi wydało się, że znowu zapalił się ogień bengalski jego rozumowania, a wydało się też, że ten bengalski ogień tym razem nie gaśnie.
Przed nim stał kapelan niemy, twardy i stanowczy.
Proboszcz usiadł przy biurku. Zapalił papierosa i począł go ssać w największym zdenerwowaniu. Wyrzucał dym za dymem. Jeden dym doganiał drugi. Ze wszystkich tych wyrzuconych dymów powstała w końcu wielka, gęsta chmura dymu w koło głowy proboszcza, stając się coraz gęstszą i coraz bardziej nieprzeźroczystą.
Proboszcz palił prędko i niespokojnie nowego papierosa. Znikał cały w dymie. Jak gdyby cały przetworzył się w dwie blade wargi bez odrobiny krwi. On sam zniknął, tylko wargi rosły i zamieniały się jakby w mały krater, z którego buchał dym.
Kapelan czekał, siedząc spokojnie, nieruchomo i obserwował człowieka, znikającego w dymie. Z całej jego postaci widział tylko dwie blade wargi bez krwi.
— Czego chcecie? — odezwał się głos z dymu. — Najlepiej odrazu zejdźcie na dół i powiedzcie im: proboszcz jest na górze. Weźcie nóż... zróbcie, co tylko chcecie... Teraz już wszystko jedno! Nie mogę walczyć z wami.
— Ze mną? Dlaczego ze mną? — Przemożnie i krótko uśmiechnął się młody człowiek. Zapatrzył się znów w człowieka, który zniknął w dymie. Był drobny, zdruzgotany. Z całego proboszcza zostały tylko dwie wargi, które wyrzucały szybko gęste dymy i dwie ręce, które przykładały do warg nowe papierosy i nowe zapałki...
Don Josowi zrobiło się żal bezradnego kolegi. Zapragnął, by mu wróciła siła i by się podniósł, by zmartwychwstał. Wołał:
— Tę, która was kocha, cała jest wasza i zostaje wasza na wieczność, mieniają z jakąś Emilią, która lega z każdym i gdyby chciała, nie mogłaby przysiąc, kto jest ojcem jej dziecka. Żądają Mai, żądają waszego dziecka, chcą w waszych oczach wydrzeć wam je z rąk, chcą, byście im wydali Maję jako Emilię, syna jako bękarta. Wieś żąda w imię Boga, by zachować dla siebie pełną rozkosz dobrego opium. Żąda tylu ludzi swej opiumowej materii... A gdy wydacie Maję jako Emilię, przyjmą ją jak czarownicę, może ją nawet i ukamienują.
Nic. Cisza.
— Wieś zabije syna i jego matkę... Ojcze, odezwij się!
Dym gęsty, kolisty i wargi wyrzucające nowe dymy. Człowiek się nie odezwał.
— Rachunek dla was jeden i ten sam. Wpadną na górę: zobaczą was. Wystarczy, żeby was jeden zobaczył, a wtedy dla was to samo, jak gdybyście się pokazał wszystkim i przed wszystkimi bronił swego syna i jego matki. Rachunek jeden i ten sam. Kiedy i tak nie możecie uratować wiejskiego opium, ratujcie przynajmniej człowieka w sobie. Spełnijcie obowiązek człowieka, chociaż wtedy, gdy was to nie kosztuje drogo...
Don Joso powstał, niespokojnie zaczął się przechadzać po bibliotece. Na dym wcale się nie oglądał. Chodził i widocznym było, że myśli szybko i szuka wyjścia. Stanął, wpatrzył się w dym i zapytał:
— Maja nie wie o niczym?
— Nie.
— Powiedz jej, Don Lovro, że musi wyjść z plebanii z dzieckiem i przejść obok zgromadzonej wsi, aby wieś widziała, że wyszła i odeszła. Przygotuj ją także i na to, że wieś ją opluje, a w każdym razie także i jej syna. Uderzyć jej nikt nie zechce, bo ja ją ochronię.
— Ty? Jak? — zabrzęczał głos z za dymu.
— Wezmę ją pod rękę. Jej dziecko przeniosę na swym sercu, przycisnąwszy je do moich piersi tą drugą wolną ręką i powiem wsi:
— Ono jest moje! — Tak ocalę człowieka, a plunę wsi w twarz i zarazem splują jego opium. Ja...
— Jesteś szalony. To znaczy: stracony człowiek.
— To znaczy: ocalony człowiek...
— Staniesz się potem niemożliwy...
— Ale za to ty będziesz po tym jeszcze silniejszym opium wsi, jeszcze bielszym pręciem Jakubowym w służbie Labana! Idź i przygotuj Maję...
— Nie! Nie! To wszystko mogę i ja... — odezwał się niepewnie człowiek z za dymu.
— Proszę... Jestem na dole. Czekam decyzji księdza proboszcza.
Kapelan skierował się ku wyjściu z biblioteki. Schodząc po schodach na dół słyszał coraz wyraźniejszą burzę wsi zebranej na kościelnym dziedzińcu. Przez żaluzje przypatrywał się, jak wieś się porusza i burzy:
Mężczyźni stracili uśmiech z ust. Wielu spoępniało, wielu się wzburzyło. Kobiety kręciły się i mieszały jak w szpitalu wariatów. Krzyżowały się okrzyki, zgiełk stawał się coraz to mocniejszy i mocniejszy. Wyróżniały się okrzyki:
— Co tu stoimy! Bliżej ku plebanii!
— Ku plebani!! Ona tam jest...
Posunęli się wszyscy. Pierwsza ruszyła Kataluca, potem dzieci, parobcy, Ivajana i na końcu mężczyźni, których wiodły Agaty.
— Tu nic nie zrobimy! Chodźmy na plebanię!
Tłum przysunął się do żelaznej bramy, która dzieliła podwórze plebańskie od przejścia i dziedzińca kościelnego.
Na bramę rzuciła się pierwsza Kataluca z pianą wściekłości.
— Mężczyźni na przód! — wzywa Ivajana.
— Mężczyźni niech idą pierwsi! — pchają Agaty swoich mężów.
Kataluca pragnie swego wiecznego pierwszeństwa w sprawie Jezusowej. Ona zarzuciła żelazną bramę pierwszymi uderzeniami.
Brama trzęsie się, zachwiała się trochę i zaskrzypiała.
— Mrko, otwieraj, masz klucz? — zatrzymała się Ivajana.
Kataluca uderza niemocnie. Agaty popędzają mężów szeptem:
— Wywalcie bramę!
Kataluca zasapana i niemocna zawodzi przed żelazem:
— Jezu, pomagaj, na Twoją chwałę...
— Mrko! Gdzieś jest?!
Dzwonnik przepycha się przez gęsty ścisk kobiet:
— Zaczekajcież przecie, gady jedne, wezmę klucz od Vita. Szkoda bramy! O, przeskoczę przez mur i przyniosę klucz.
Dzwonnik wspina się na mur. Kataluca bije niemocnie pięściami po żelazie.
— Zobaczmy tę przeklętą babę!
— Oczy jej wyrwiemy!
— Kamieniami ją zasypać...
— Zobaczmy ją... — szepcą Agaty.
Mrko zapukał na Vita do okna od kuchni.
— Gady jedne, wywalą bramę, Vito, daj klucz.
— Klucz? Chcesz klucz? — Vito odsunął się od okna i za chwilę wyrzucił dzwonnikowi klucz.
Mrko powrócił powoli ku żelaznej bramie, a Vito prędzej niż kiedykolwiek skoczył do biblioteki. Don Lovro ciągle jeszcze siedział przy biurku w dymie. Ciągle jeszcze przetworzony w dwie blade wargi, które wyrzucały dymy.
— Idą. Teraz będzie gorzej. Mrko już otwiera bramę! — rzucił Vito i zatoczył się po pokoju.
Dym się zakołysał, pękł. Don Lovro krzyknął zduszonym głosem:
— Nie! Nikogo tu na górę! Vito, zobaczyliby mię. Mnie nie ma. Weź, prowadź ich na dół...
Bez tchu wpadł do biskupiego pokoju i chwytając z łóżka dziecko z pieluchami, jęknął:
— Majo, przepadam. Daj dziecko, idź na dół...
Nie zwrócił się do kobiety, nie spojrzał jej w oczy. Oszalały ze strachu przed wsią, która nadciąga i odkrywa, skoczył ku Vitowi:
— Weź, prowadź, daj im... Żeby tylko nikt nie przyszedł na górę! Nikt...
— A Maja? — wpadł kapelan do „biskupiego" pokoju i podtrzymał zemdlałą kobietę.
Za chwilę w bramie plebanii ukazał się Vito z dzieckiem na rękach i pobiegł ku tłumowi.
— Wyrwałem je.
— Gdzie ona? — zawyła wieś. — Ona, gdzie ona?
— Zemdlała. Gdy przyjdzie do siebie i zobaczy, że nie ma dziecka, wyleci za nami... Kapelan ją przyprowadzi.
— Niech żyje Vito! Niech żyje!
— Niech żyje Mrko! Niech żyje!
Vito pobiegł przez dziedziniec. Mrko obok niego. Za nim rzuciły się kobiety, dzieci, parobcy i większa część tłumu. Dzieci ucieszyły się szczerze tą gonitwą i tłumem. Reszta pozostała na miejscu i zwróciła się w stronę tych, co polecieli za Vitem, Mrkiem i dzieckiem...
Garbaty Vito leciał niezgrabnie, jak gdyby małpa niosła dziecko. Przestraszone dziecko tak kwiliło, że serce się rozdzierało, ale serca nie było przy nim. Może je bolało i to, że je kucharz przyciskał. Płakało, a płacz ten rwał się, jak gdyby się nim krztusiło.
Vito biegł przez dziedziniec i przez obejście kościoła, kierował się ku drodze, co prowadzi do miasta. Za nim cisnął się tłum. Setki rąk wyciągniętych, powiewających w powietrzu, a wszystkie sięgają za dzieckiem w pieluszkach.
— Daj je... Daj nam je...
Kobiety się pchają. W ciżbie popychają się. Kataluca z wściekłością żąda dziecka.
— Tobie na chwałę, Jezusie nasz!
— Za Twoją cześć...
— Za święte imię Twoje!
Setki rąk wyciągniętych, rozbujanych w powietrzu:
— Daj je... Daj je nam!
Dziecko łkało coraz bardziej spazmatycznie. W ciżbie ktoś stanął Vitowi na nogę. Zatoczył się i padł z dzieckiem na ziemię. Za nim padło ich wiele z tłumu, który nacierał.
Dziecko boleśnie, ale strasznie i krótko krzyknęło i nagle umilkło.
— A... a! Udusili! Dziecko uduszone! — ryknął Vito.
Tłum stanął. Skamieniał. Zerwała się i tamta część wsi, która została przed plebanią, aby czekać na Emilię.
— Zadusili dziecko!
— Kto?
— Ty! — wyprostował się Vito i wyciągnął palec w stronę tłumu, który cofał się przed wyciągniętym palcem, co oskarżał każdego i nikogo.
— Wszyscy byliście tu! Wszyscyście winni!
— Ja nie upadłam.
— Ni ja, — odzywały się ciche głosy usprawiedliwienia z pierwszego szeregu tłumu. Vito stoi nad zupełnie uspokojonym dzieckiem i patrzy, jak się tłum rozchodzi, rozpada się na wszystkie strony.
W milczeniu, prędko każdy uciekał przed siebie. Także i tamci, co do tej chwili stali przed plebanią, obracają się. Odchodzą niemo i prędko.
Pełne są wszystkie wijące się drogi, wiodące z kościoła. Pełne i nieme.
Czasem tylko jakiś głos się odezwie:
— Anim się nie ruszył. Anim słowa nie powiedział.
— Ni ja.
— Co będzie teraz?
— Kto wie, co będzie! Dziecko martwe.
W pobliżu Vita pozostał tylko dzwonnik Mrko i nieco dalej Agata Matićowa.
— Dzwoń, Mrko, w angelusowy dzwon, ten, co dzwoni tylko dzieciom umarłym. Prędko, prędko zadzwoń zmarłemu aniołkowi.
Mrko odleciał. Wydało mu się, że temu aniołkowi musi zadzwonić prędzej i dłużej niż jakiemukolwiek innemu.
— Uciekaj, Agato! Czyż chcesz ty na siebie wziąć krew tego niewiniątka?
Vito został sam.
Anielski dzwonek rzucał już w tę pustkę swoje miękkie tony. Rzucał je przez całe popołudnie i aż do zmroku. Wieś je słyszała. Tego wieczora nie słyszała dzwonienia na Anioł Pański. Nie było go wcale...

ANIELSKI DZWONEK PRZEŚLADUJE...

Jeszcze późno w noc, gdy anielski dzwonek dawno już zamilkł, wieś słyszała jego żałosne, miękkie tony. Matki popatrywały i oglądały swoje żywe dzieci. Przykładały ręce do ich czoła, do twarzyczek. Nadsłuchiwały ich oddechu. Bały się, aby niebo nie zemściło się za dziecko zmarłe przed plebanią.
— Ono biedne, nikomu nic nie było winne.
— Nieszczęsne.
— Jak to może być, żeby niewinne dziecko rodziło się nieszczęśliwym?
Wszystkie myśli pozostawały bez rozwiązania, wszystkie pytania bez odpowiedzi.
Jeszcze długo w noc płakał wsi anielski dzwonek.
— O Jezu, Jezu...
— Przyjmij je między swoje anioły. Ono nic nie było winne.
— Kto jest winien?
Wieś widziała już żandarmów, śledztwo. Bała się. Myślała sama o sobie.
— Jezu, zmiłuj się nad nami...!

— Dla Ciebie to było, za Twoją cześć i za cześć Twego sługi, o Jezu... — modliła się wieś w swoim zalęknieniu.

Gdy Vito wniósł dziecko na plebanię, nikt go nie widział. Nikt o nic nie pytał. Wniósł je i oddał małce, która stała bez myśli i bez słowa.

— Mały żyje... — mówił Vito. — Tylko skurcz uniemożliwił mu dalszy płacz. Wyglądał całkiem jak mały trupek. Ale się rozlecieli!

Maja śmiała się wariacko — ze szczęścia. Wpadła w długi niepohamowany śmiech.

— Żeby się tylko znowu nie rozpłakało — upomniał Vito. Proboszcz stał niemy. Oczyma przeszukiwał Vita. Vito obracał się i oglądał niespokojnie.

— Żeby tylko znowu się nie rozpłakało!

Dziecko spało zmęczone. Spało długim, głębokim snem. We śnie nabierało sił.

— Zarządziłeś, żeby dzwonił anielski dzwonek? — spytał proboszcz.

— I długo będzie dzwonić! — zaśmiał się Vito.

— Dzwon dzwoni umarłemu!

— Tak, umarłemu! — potwierdził Vito krótko i chłodno.

— Nieboszczyka trzeba pochować?

— Pochować? — zaśmiał się Vito głupawo.

— Jak to? Przecież nie ma nieboszczyka? Nie pogrzebie się chyba pustej trumny? — szepnął twardo Don Joso.

— Dzwon dzwonił zmarłemu dziecku. Wieś jest przekonana, że dziecko nie żyje. Wieś oczekuje, że nieboszczyk będzie miał także i pogrzeb. Wieś przyjdzie na pogrzeb — myślał proboszcz głośno.

— Trumny? — roześmiał się Don Joso.

— To jest mniejsza zło, niż zgorszyć wieś. Wszystko raczej niż zgorszenie, niż skandal.

— Dlaczego miałby być pogrzeb? — odezwał się Vito. — Ja o tym nawet na chwilę nie pomyślałem. Matka odwiozła martwe dziecko. Odwiozła je, gdzie chciała, pochowała je, gdzie chciała. Zamówiłem powóz.

— Jak? Przez kogo?

— Jakiś człowiek, nie znam go, nie tutejszy, przechodził drogą i uprosiłem go, żeby z miasta przysłał powóz.

— Dobrze — krzyknął proboszcz — Wszystko załatwione. Majo, dziś w nocy trzeba wyjechać. Trzeba wyjechać, gdy tylko powóz przyjedzie z miasta.

— Dzwon będzie dzwonił zmarłemu dziecku w dali, — roześmiał się Vito i wyszedł na dziedziniec, by zobaczyć, czy powóz nie nadjeżdża. Wyczekiwał go.

I rankiem płakał anielski dzwonek.

Wieś słuchała starych, miękkich tonów, pełna nowego lęku:

— Jezu, zmiłuj się!

— Przyjmij je między swoje anioły. Ono nikomu nic nie było winne.

— Jezu.

— Kiedy będzie jego pogrzeb? — dopytywała się wieś Mrka już od rana.

— Nie będzie pogrzebu. Emilia wywiozła martwe dziecko i pochowa je gdzieś tam. Vito nie pozwolił, żeby było pochowane na naszym cmentarzu. I kapelan też.

— Vito jest dobry. Vito to nasza matka!

— To i żandarmi nie przyjdą?

— A po cóż by mieli przychodzić? Dziecko umarło, jak tyle innych dzieci umiera.

— To i śledztwa też nie będzie?

— A na co? Kto tam śledzi za naszymi nieboszczykami?

— Cóż Emilia powiedziała?

— Cóżby miała mówić? Powiedziała: Dzięki Bogu, który je zabrał do siebie. Łatwo Emilii o dziecko.

Wsi wydawało się tak samo, że Emilii łatwo jest o dzieci, ktoś tylko jeszcze zapytał:

— To po co mu dzwonisz?

— A, to się musi, bo tutaj umarło...

— Tak, tutaj umarło.

Tego samego rana przyszedł człowiek z krańca wsi i prosił, żeby Don Joso poszedł do jakiegoś starca, który walczy ze śmiercią, aby go zaopatrzył.

— Vito, czekajcie chwilę. Pomówię z księdzem proboszczem, może on sam pójdzie, — rzekł Don Joso do garbatego kucharza, gdy mu zapowiedział tę drogę do chorego.

Kapelan wspiął się po schodach i zapukał do sypialni proboszcza. Zapukał raz jeden jeszcze i znowu jeszcze raz. Proboszcz spał twardym, głębokim snem.

— Zmęczony był i teraz śpi twardo, — szepnął Don Joso. Rozmyślał chwilę: zapukać jeszcze raz, czy też sam ma iść do chorego?

Zapukał jeszcze raz.

— Kto tam? — spytał proboszcz z poza drzwi. W jego głosie coś zadrgało.

— Proszę o chwilę rozmowy.

Proboszcz wypytywał go oczyma i czekał jakby bez tchu, aż Don Joso przemówi.

— Więzienie księdza proboszcza skończone. Dziś w nocy mógł ksiądz proboszcz wrócić. Byłoby bardzo dobrze, żeby księdza proboszcza dzisiaj wieś zobaczyła. Sposobność się nadarza: na skraju Vrel jest jeden chory. Niech ksiądz proboszcz dosiędzie konia i przejedzie przez wieś.

— Dobrze.

— Bardzo mi miło, bo ja i takbym nie poszedł, chyba może tylko dla wygodzenia księdzu proboszczowi.

— Co to znaczy?

— Że nie życzę sobie iść ani do tego, ani do żadnego innego chorego.

— ?

— Nie chcę.

— ??

— Już nigdy. Ksiądz proboszcz niech wróci i powie wsi, że mię wypędził za to, iż pozwoliłem Emilii wejść na plebanię. Niech ksiądz proboszcz powie wsi, co tylko chce. Ja odchodzę.

— Dokąd?

— Za moim opium.

— A to jest?

— Hahaha! Mój człowiek! Proszę powiedzieć biskupowi: rzucił wszystko i odszedł, zepsuty człowiek! Proszę mu powiedzieć, że za ciężki był mi celibat, że zapragnąłem kobiety. O tym musi się zawsze mówić, gdy ktoś odchodzi. Wieś (i ta także w wielkim mieście) w co innego nie wierzy, co innego nie może nawet i zrozumieć. Proszę powiedzieć i wsi i biskupowi, a będzie im lżej: oznajmił, że nie może żyć na wsi, gdzie nie ma kobiet, więc odszedł tam, gdzie ich nie brak i gdzie ledwo czekają na niego, bo nie ma innych świętalnych mężczyzn. Proszę im powiedzieć, że nie chciałem kobiet, które inni żywią, że nie chciałem wielu kobiet, lecz tylko jednej, której się daje krew, znój i wszystkie cierpienia człowieka żywiciela. Proszę powiedzieć, co tylko ksiądz proboszcz zechce i komu tylko zechce. Nic mnie nie dosięgnie, bo będę pijany od swego opium, od mojej reinkarnacji. Wcielę się i zostanę znów człowiekiem: drobnym, zmęczonym i głodnym, lecz z możliwością, że zawsze będę człowiekiem.

— Ksiądz kapelan mnie osądza?

— Księdza proboszcza? Myślałem tylko o sobie. Ja nie chcę osądzać siebie.

— Między apostatów?

— Ksiądz proboszcz wie, że słowo to znaczy: odstępca. Od kogo odstępuję? Wszystko jedno: w moim kroku, na mojej drodze są dwie fazy: w każdym razie odstępuje od czegoś, aby dojść do czegoś. Dla księdza proboszcza, widać, ważną jest pierwsza faza — odstąpienie. Dla mnie ważną jest druga faza: dojście. Dla księdza proboszcza staję się odstępcą, dla siebie samego staję się ocalonym...

Z Bogiem Vrela! Dlaczego ksiądz proboszcz patrzy na mnie z takim przestrachem? Don Lovro, podaj mi rękę i pierwszy poczuj we mnie człowieka. Nie, nie, proszę się nie bać, że stało się to wasze najgorsze, że mnie ksiądz proboszcz zgorszył. Wy, księże proboszczu, otwarliście mi tylko oczy i ja będę was uważał za mojego dobroczyńcę. Ksiądz proboszcz chciał mnie nauczyć władać duszami. A ja nauczyłem się dopiero kochać swoją duszę.

Proboszcz przyjął wyciągniętą rękę. Niemo zatrzymał ją w swojej dłoni.

— Proszę nic nie mówić, Don Lovro. Rozejdźmy się w milczeniu. My nie możemy mieć jednego wspólnego zdania.

— Z Bogiem, człowieku!

— Z Bogiem, Vrela!

— Ma ksiądz co pieniędzy na pierwsze czasy?

— Pieniędzy? Nie mam. Możecie mi, księże proboszczu, coś dać, ale nie będę wam za to dziękował. To nie jest nic. Jeśli ksiądz proboszcz myśli, że pieniądz jest czymś, to proszę mi nie dawać pieniędzy. Łatwiej jest je znaleźć niż swego człowieka.

— Kiedy ksiądz odjeżdża?

— W tej samej chwili, kiedy ksiądz proboszcz wyjdzie z plebanii, by dosiąść konia i przejechać przez wieś.

— A dokąd?

— Powiedziałem, gdzie pragnę pójść. O drogi proszę mię nie pytać. Wiem, że są wąskie.

WIEŚ PALI DALEJ...

Gdy proboszcz wyjechał, by zaopatrzyć chorego staruszka na krańcu wsi, zobaczyła go wieś, pozdrowiła radośnie i odetchnęła:

— Wrócił nasz proboszcz!

— Nasz proboszcz!

— Nasz.

— Teraz znów jestem wasz, — mówił wsi niemo, przejeżdżając wijącymi się drożynami wielkiej stromizny. Był radosny i uśmiechnięty jak przed swoim wyjazdem do Ziemi Świętej i jak wtedy, nim jeszcze zaczęli przyjeżdżać kapelani.

Kobiety szczerze mu się radowały: Kataluca, Ivajana i Agaty. Agaty opowiadały mu z uniesieniem:

— Wieś przepędziła pokusę.

— Obroniliśmy my nasz kościół, naszego Jezusa, — rzekła Kataluca.

— Święta Bogarodzicielka strzegła go i wróciła, — wznosiła Ivajana kościste ręce i wielkie różańce ku niebu.

Również i w południe płakał anielski dzwonek. W jasny dzień rzucał miękkie, żałosne fale tonów, lecz przygniatały one wieś i niepokoiły ją.

Jeszcze czasem jakaś kobieta szepnęła:

— O Jezu, Jezu...

— Przyjmij go między swoje anioły!

Anielski dzwonek płakał i o zmierzchu, po wieczornym Aniele Pańskim. Jeszcze żałośniejszym płaczem niż w południe.

Wieś się żachnęła:

— Dokąd będzie nas ten mały prześladował?

Ten mały stawał się coraz to większym. O każdym zmroku rzucał cień na całą wieś i oskarżał ją o śmierć jednego małego człowieka.

— Mrko, nie mógłbyś też już raz przestać z tym anielskim dzwonkiem na wieczór? — pytano we wsi dzwonnika.

Mrko zapytał Vita, Vito zapytał proboszcza:

— Może przestać?

— Niech dzwoni, to nikomu nie szkodzi.

Proboszcz powiedział Vitowi, Vito powiedział dzwonnikowi, a dzwonnik rzekł wsi:

— Nie wolno. Tak jest zarządzone.

— A jak się dzwonkowi co stanie?

— Coby mu się miało stać?

— A tak, myślimy, że nie będzie mógł dzwonić.

— To nie będzie dzwonić. Jak nie będzie mógł, to nie będzie dzwonił... A co to myślicie?

— Nic nie myślimy, tak tylko pytamy...

Niedługo potem, jak wieś pytała dzwonnika, coby było, gdyby anielski dzwonek nie mógł dzwonić, oznajmił Mrko Vitowi, a Vito proboszczowi:

— Zginął języczek od anielskiego dzwonka.

— Jak? Gdzie? Szukałeś go?

— Przeszukałem całą dzwonnicę, ale go nie znalazłem.

— Dobrze, powiedz kowalowi, żeby zrobił nowy języczek.

Dopóki kowal kuł nowy języczek dla nielskiego dzwonka, wieś nie słyszała żadnego dziecięcego dodatku po wieczornym dzwonieniu na Anioł pański.

Wieś uspokoiła się, z zadowoleniem powróciła do siebie samej i swego dnia i swej niedzieli.

Kamień wpadł w wodę, plusnął, poruszył kilka drobnych fal. Fale się uspokoiły.

— Vito, osiodłaj mi konia!

Szybkim kłusem przebiegał proboszcz po wijących się wiejskich drogach. Zatrzymywał się na wszystkich rozdrożach. Przebiegł przez wszystkie przysiółki. Dotknął wszystkich dachów ożywiał wszystkie kaplice i kamiennych i drewnianych i malowanych w nich świętych.

Wieś pozdrawiała go oczyma, rękami i uczuciami:

— Nasz proboszcz!

— Nasz!

— Śliczny jest!

— Nasz jest!

Przejechał przez wieś wzdłuż i wszerz. Wszyscy go widzieli: młodego, o czerstwych, pełnych i miedzianych policzkach.

— Nasz proboszcz!

— !

Dzisiaj z kościelnego dziedzińca przyglądał się panoramie wsi rozsypanej nad morzem. Panorama przesycona była purpurą zachodzącego słońca. Wielkie, krwawe słońce zanurzało się w morze. Wieś gotowała się zatonąć w jesienny zmrok. Widział mnogie puste, wijące się drożynki i łupkowe dachy po przysiółkach. Widział wszystkie cztery kościoły, które po przysiółkach oczekują go, by je ożywił, by dotknął ich dzwonów i malowanych w nich świętych.

Cała wieś czeka niedzieli.

— Jutro znowu niedziela! — wspomniał sobie, gdy dzwonnik Mrko pociągnął za sznury i rozśpiewał dzwon na wieczorny Anioł Pański...

Anioł Pański śpiewał nad wsią i zamierał nad powierzchnią uspokojonego już, bladego morza. Wieś oczekuje jutrzejszej niedzieli: z upragnieniem i pożądliwie.

Vito czeka na proboszcza, aż wróci na plebanię. Oczekuje go długo, bo proboszcz długo zatrzymał się zapatrzony w panoramę wsi o zachodzie, która oczekuje jutrzejszej niedzieli.

Vito niecierpliwi się. Objawia swoje zniecierpliwienie małpie:

— Didi, bydlę jedno, znowu śpisz? No, śpij, dobrze siedzimy, chwała Bogu.

— Didi...

KONIEC

KNOTEK W KATASTROFIE

Rys. i tekst: Pawl.

Lepiej wolniej i z ostrożna —
Motek myśli — jechać można,

Samochodem z drugiej strony
Pędzi Knotek jak szalony,

Aż tu „Kraksa" słup strzaskany
I samochód połamany.

Skończył Knotek na wesoło
„Łeb" rozbity, — dźwiga koło.

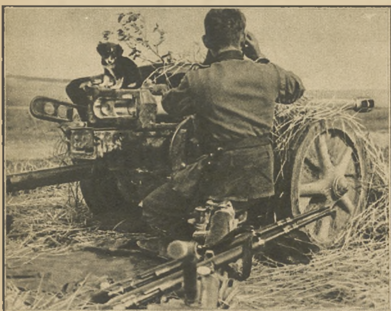


MAŁA SERIA

ZWYCIĘSTWO!

Sowieckie wozy pancerne podsunęły się pod linie niemieckie. Ale niemieccy strzelcy pancerni załatwili się z nieprzyjacielem i krzyczą: zwycięstwo! (na lewo). Na prawo zaś pozostali przy życiu żołnierze sowieccy poddają się i idą do niewoli.





WIERNI TOWARZYSZE!

Do załogi tego niemieckiego działka przypłątał się piesek i towarzyszy im wszędzie tam, gdzie się tylko da. Po każdym wystrzale wskakuje kundelek z powrotem na armatkę. Na prawo zaś — również towarzysz eskapady, lecz tym razem wśród pieniących się fal.





MIMOWOLNE POPISY AKROBATYCZNE

Podczas wyścigów konnych w Belmont Park w stanie New Jork, przy przeskakiwaniu przez przeszkodę, wypadł jeździec, kadet szkoły wojskowej w Meksyku, poza przeszkodę, po czym i koń stanął na głowie, ale już za przeszkodą. Ani jeźdźcowi, ani też koniowi nic się nie stało.

Fot. Ass. Press 5
Atlantic 2
Scherl 1





ŚWIĘTO ZAWODÓW

W Kopenhadze odbywa się corocznie w dniu 10 sierpnia święto zawodów z wielu oryginalnymi konkurencjami. Pomiędzy 15 tysiącami widzów znajdował się także król duński z królową (na prawo). Przy zawodach „kto mocniejszy" rozegranymi pomiędzy listonoszami i tragarzami mebli, wygrali naturalnie ci ostatni, nie zaś listonosze, choć nie wszyscy z nich mają muszą wagę (na lewo).



Dla Pani



Sylwetka tej pani w pelerynie z brązowej wełny z czarnym kołnierzem z sealu i z tą fryzurą robi wrażenie trochę za potężne, mimo że widać, że pani ta jest zgrabna. Szkoda, że ta peleryna jest aż tak szeroka, bo sam fason jest elegancki.



W NOWYM JORKU
Pończocha na gołej nodze. Bardzo praktyczne!



A TU PARYŻ
Ruchome podeszwy drewniane.



Wątpimy w to, czy która z naszych pań włożyłaby ten kapelusz, nawet wtedy, gdyby chciała wywołać „furorę" swą aparycją. Rękawy sukienki mają specjalne zadanie: poszerzenia sylwetki w ramionach; również zmarszczony przód bluzki i spodu wskazuje na to, że sukienka przeznaczona jest dla sylwetek dość szczupłych. Całość robi jednak trochę dziwaczne wrażenie.



Z MODY NIEMIECKIEJ

Trzy nasze zdjęcia przedstawiają nam modele niemieckich salonów mody. Powyżej prezentuje nam modelka komplet do podróży, składający się ze spódnicy pepitkowej w fałdy i płaszcza sportowego koloru piaskowego z podszewką z tej samej pepity, co spódnica.

Fot. Ass. Press 5
Scherl 2



Tu oto mamy dwa atrybuty elegancji popołudniowej: czarna, wąska spódnica i żakiet z brokatu, z kieszeniami ze srebrnego lisa.



Na tym zaś zdjęciu widzimy również suknię popołudniową, której górna część składa się ze stebnowanego jedwabiu w kolorze czarnym i cyklamen. Wielkie kieszenie zwisają luźno z boku spódnicy.



MAŁA KRÓLOWA

Tak nazwał pewien paryski inżynier wynaleziony niedawno przez siebie rower, który można składać i skutkiem tego łatwo wszędzie brać ze sobą. Nasza górna ilustracja przedstawia uroczą paryżankę składającą swój rower, w celu zabrania go ze soba do kolejki podziemnej. Jak widać poniżej, nawet w bardzo wąskim przejściu nie stanowi on przeszkody ruchu. Gdy ten wynalazek okaże się praktycznym, to znaczy o ile jego wytrzymałość nie ucierpi przez dłuższy czas, stanie się kolarstwo jednym z najdoskonalszych środków komunikacji.

Fot. Atlantic



»KOTWICA«

Teatr „Komedia"

Nie wiem, czy „Kotwica" stała się komedią muzyczną dopiero u nas, w Warszawie, czy też jako komedia muzyczna na świat przyszła. Mam podejrzenie, że „umuzyczniono" utwór Seredy'a w teatrze przy ul. Kredytowej. Powiedzmy szczerze: autor powinien być wdzięczny „adaptatorom". Jako czysta komedia, jako utwór dramatyczny jest bowiem „Kotwica" — mimo bardzo pomysłowego założenia — trochę wodnista, uboga w zdarzenia i konflikty. Bez wątpienia dialog zaleca się kulturalnym dowcipem, przyjemną szermierką słów, lawirując między Molnarem a... Shawem (!). Gdyby jednak nie zgrabnie i logicznie wynikające z akcji piosenki, dueciki itd. pozostałoby wrażenie pewnej czczości.

Bo te cztery osoby, prowadzące akcję „Kotwicy", mówią dużo, choć... niewiele mają do powiedzenia. A takie „przelewanie z pustego w próżne" ma tylko wtedy powab na dłuższą metę (całe długie 3 akty), gdy autor potrafi lśnić rakietami dowcipu słownego, fajerwerkami paradoksów, racami, błyskawicami powiedzeń i powiedzonek, które publiczność chwyta, powtarza, popularyzuje... W „Kotwicy" dialog jest smaczny i — powtarzam — kulturalny, ale nie błyskotliwy w tym stopniu by stanowił rekompensatę za pewną anemiczność, za brak „wydarzeń", co powoduje, że akt pierwszy, najbardziej zwarty, więcej zapowiada, niż przynoszą następne. Zainteresowanie stopniowo gaśnie, bo właściwie wszystko, co może nas obchodzić, kończy się w tym akcie. Reszta jest już tylko dążeniem do jakiejś finałowej „pointy", której właściwie... nie ma. Mimo to, dzięki melodycznym i rytmicznym „rodzynkom" T. Sygiedyńskiego, całość robi wrażenie dodatnie.

Na premierze panowała atmosfera przyjemna i życzliwa, jakby publiczność, zmęczona jaskrawiznami wielu widowisk teatralnych, chętnie u ś m i e c h a ł a się, miast parskać śmiechem, chętnie wsłuchiwała się w pastelowy dialog, miast porykiwać z prymitywnych w komizmie sytuacji „Trójki hultajskiej".

Styl komedii muzycznej wymaga „stonowania" aktorów. Wymaga raczej inteligentnego żonglowania dowcipami słownymi, niż skłonu ku grotesce, lub zgrywaniu się „pod publiczkę".

Teatr komediowy, rozporządzający aktorami, przyzwyczajonymi do dyscypliny artystycznej, zawsze lepiej, trafniej odgaduje charakter takiego właśnie jak „Kotwica" utworu, niż zawodowy teatr t. zw. „muzyczny".

W „Komedii" wszyscy aktorzy są tu na miejscu, a Rakowiecki, jednoczący walory rasowego wodewilisty z możliwościami, jakie dała mu spora dyczna praca w teatrach dramatycznych, zbliża się do ideału.

Malkiewicz jest i piękną, i rasową, i bardzo w dobrym stylu aktorskim, trochę tylko za serio, jakby bała się uśmiechu, jakby za poważnie traktowała tę „burzę w szklance wody". Ten umiar, skądinąd b. chwalebny, przydałby się Wilińskiej, której i temperament zyskałby właśnie na pewnym stuszowaniu; o ile Malkiewicz gra jak pianista, nadużywający l e w e g o pedału, to znów Wilińska szafuje p r a w y m pedałem, czego prawdopodobnie nabyła w przelotnej pracy rewiowej. Obie panie zresztą są bardzo efektowne, bardzo reprezentacyjne, bardzo że tak powiem „filmowe".

Tak samo, jak Pichelski, który ma bardzo dużo prostoty, jest męski i szczery, czasem zbyt już mało skomplikowany. Nie gubi się on w finezjach dialogowych, może nie potrafi jak Rakowiecki błyskotliwie „podać" roli i tekstu, ale ma swoje walory bardzo cenne.

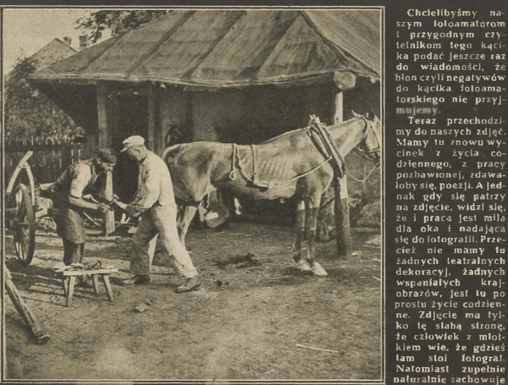
Ta czwórka, zapewni „Kotwicy" sukces, do którego przyczynia się fertyczny epizod Porębskiej i dowcipny rysunek Łuszczewskiego. A przede wszystkim wytworne piosenki Sygietyńskiego i... kulturalna atmosfera całości.

Czesław Pudłowski



Malkiewiczówna i Pichelski w akcie II. „Kotwicy". Stoi Łuszczewski.

UWAGA! FOTOAMATORZY!



Chcielibyśmy naszym fotoamatorom i przygodnym czytelnikom tego kącika podać jeszcze raz do wiadomości, że błon czyli negatywów do kącika fotoamatorskiego nie przyjmujemy.

Teraz przechodzimy do naszych zdjęć. Mamy tu znowu wycinek z życia codziennego, z pracy pozbawionej, zdawałoby się, poezji. A jednak gdy się patrzy na zdjęcie, widzi się, że i praca jest miła dla oka i nadająca się do fotografii. Przecież nie mamy tu żadnych teatralnych dekoracyj, żadnych wspaniałych krajobrazów, jest tu po prostu życie codzienne. Zdjęcie ma tylko tę słabą stronę, że człowiek z młotkiem wie, że gdzieś tam stoi fotograf. Natomiast zupełnie naturalnie zachowuje się woźnica. Zdjęcie wykonał p. Kondola Edmund z Mielca, apar. Agfa Isollette, F = 8.5, $^1/_{30}$ sek.



Także drugie zdjęcie jest bardzo żywe i prawdziwe. Ma ono tę przewagę nad pierwszym, że jest doskonale technicznie. Nieskrępowanie tych muzykantek i naturalne ruchy niespodziewających się na pewno przechodniów, dają obrazek bardzo miły dla oka. Zdjęcie wykonał p. Reischer z Krakowa, apar. Rolleiflex.

SOWIECKIE ★ GWIAZDY ★ SPADAJĄCE

PEWNOŚĆ

— Jestem mocno przekonany, — powiedział jeden towarzysz sowiecki do drugiego — że nasz najzaciętszy wróg wkrótce będzie zniszczony.

— Jakto, towarzyszu Popoliwofie, sądzisz naprawdę, że Niemcy...

...w niedługim czasie zlikwidują czerwoną armię — dokończył towarzysz Popoliwof z całym spokojem.

GWIAZDA SOWIECKA

Pierwszy Rosjanin: Gwiazda sowiecka spada, ja życzyłem sobie pewnej rzeczy.

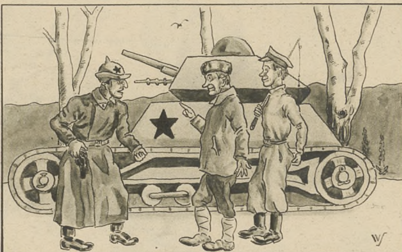
Drugi Rosjanin: — ja życzę sobie tego samego.

ODWET SIĘ ZBLIŻA

„Każdy polityczny krok Stalina jest równoznaczny z kłamstwem i oszustwem. Stalin prowadzi politykę bez etyki, rządzi bez uczciwości i jego rząd istnieje bez miłości ludzi". Tak pisze Raskolnikow, były poseł sowiecki w Sofii, by w dalszym rozumowaniu dojść do wniosku, że wcześniej, czy później lud sowiecki posadzi Stalina na ławie oskarżonych.

DRUGI GARNITUR NA FRONCIE

Po rozbiciu zupełnym, lub wzięciu do niewoli zaraz w pierwszych tygodniach wojny najlepszych oddziałów sowieckich przez potęgę niemiecką, rzucono obecnie na front jako drugi garnitur, mężczyzn do połowy wyszkolonych, młodzieńców, którym ledwo zarost się wysypuje, robotników i innych nie przysposobionych do boju.



— Jakto nie potraficie? Przecież wy „tankiści"! Co to, kontrrewolucja?!!

— O kontrrewolucji nie ma i mowy, towarzyszu komisarzu... My jesteśmy uświadomieni politycznie robotnicy i swój obowiązek rewolucyjny znamy. Pojechać — spróbować można, tylko wy nam, towarzyszu powiedzcie, jak się do tego czorta włazi?

Rys. Skokowski



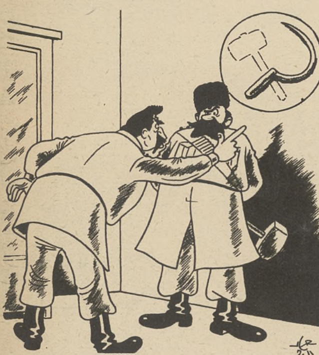
— Ej, Pietia! A ci trzej z tyłu, to nie „germańcy"?

— Czort z nimi, „germańcy" oni, czy nie! Mnie towarzysz komendant powiedział, że „germańcy" będą szli z tej strony. A ty, Mitka, nie siej defetyzmu, bo za to kula w łeb!

Rys. Skokowski

UPÓR ATUTEM

Według komunikatów naczelnej komendy niemieckiej, żołnierze sowieccy, z niezrozumiałym prawie uporem, doprowadzonym do obłędu nieomal przez komisarzy politycznych, trzymają się raz obranej taktyki, choć skutkiem tego każda ofenzywa, czy defenzywa, już z góry skazana jest na niepowodzenie.



DO TEGO DOJDZIE

Stalin: — Kto zniszczył symbol Sowietów? Gdzie się podział młot?

(Marc Aurelio)

Z REGIME'U SOWIECKIEGO

Ojciec, matka i dwu synów przechadza się po ulicach Leningradu, prowadząc psa na smyczy. Naraz mówi ojciec zamyślony: — Sądzę, że po śmierci towarzysza Stalina..... Milknie zaraz przerażony i rozgląda się w koło.

— Cóż ja powiedziałem! Sądzę, że mnie nie zaaresztują, bo w przeciwnym razie musiałby mnie zdradzić ktoś z własnej rodziny, moje ciało i krew. — Wieczór cała rodzina znalazła się w więzieniu. Ojciec, ponieważ mówił kontra rządowi Sowietów, reszta familii, gdyż przysłuchiwała się słowom ojca. — Żaden z nas nie może być zdrajcą, mówi ojciec. Chciałbym tylko wiedzieć jakim cudem to się mogło stać.

Wtem jeden z jego synów woła: — Już wiem! Teraz wiem także, dlaczego naszego psa mianowano dziś komisarzem policji.

MORITURI TE SALUTANT

Według zeznań wziętych do niemieckiej niewoli, sowieckich żołnierzy, wyznaczono karę śmierci dla rodzin żołnierzy którzy dostaną się do niewoli, i podobno rozstrzelano w międzyczasie kilku generałów rozbitych armii.



NA KREMLU

— Popatrz! To są ochotnicy przeznaczeni na śmierć!

— Desanci czy strzelcy torpedowi?

— Nic podobnego! To są generałowie, którzy przejmują dowództwo, choć dobrze wiedzą, że tak czy tak zostaną później rozstrzelani.

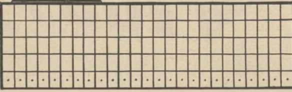
(Marc Aurelio)

Rozrywki umysłowe

LOGOGRYF ul. H. B.



UŁ. HENRYK BRUDZEWSKI



W powyższą figurę należy wpisać pionowo 25 wyrazów 5 literowych o wspólnej początkowej literze. Ostatni rząd poziomy da rozwiązanie.

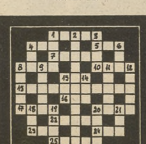
Znaczenie wyrazów:

1. in. pociąg, 2. odbitka, odpis, 3. zwierzątko należące do bezkręgowych (wspak), 4. napój czekoladowy, 5. święta księga mahometan, 6. ptak z rodziny wróblowatych (w l. mn.), 7. orzech kokosowy, 8. rodzaj łódki, 9. in. barwa, 10. lekka tkanina jedwabna marszczona w drobne fałdki, 11. koła, obręcze, 12. arbuz, 13. pewna ilość pieniędzy, 14. cierń, 15. hałas, krzyk, 16. roślina ogrodowa, 17. służą do gry, 18. szklane nakrycie na lampę w kształcie półkuli, 19. szata liturgiczna, 20. odcinek, bon, 21. jednostka do oceniania próby złota, 22. sprzęt domowy pleciony z wikliny (w l. mn.), 23. gruby dywanik wełniany, 24. Stolica Gen. Gubern. (bez ostatniej litery), 25. miasto w Rosji.

*

KRZYŻÓWKA

ul. Z. A.



Znaczenie wyrazów:

Poziomo: 1. łódź morska, 4. bufet, 5. rzadki metal, 7. nazwa ciała otrzym. przez działanie chemiczne, 8. wybryk, skok, 10. stan pogody, 13. miasto w Rosji, 15. okrzyk, 16. imię żeńskie (zdrobn.), 17. ród, związek, 20 tur. mnich wędrowny, 22. obwieszczenie, 23. ukrop, wrzątek, 24. moneta stand. 25. ptak pospolity.

Pionowo: 1. koniec, 2. błazen w komedii włoskiej, 3. oddział żołnierzy, 4. kwiat, 6. burmistrz we Francji, 8. nacz. plemienia arabskiego, 9. zatoka na morzu Białym, 11. waga aptekarska, 12. amer. ptak błotny, 13. naturalista niemiecki 19 w., 14. „kochaj" w języku martwym, 18 bankier szkocki w 18 w., 19. olejek aromat., 20. wstrząs (k=d), 21. podarunek.



Carsta Löck





Theo Lingen

Ida Wüst

R. A. Roberts

Biuro matrymonialne Ida i Ska



Pani Ida Niebo, prowadzi biuro matrymonialne, chociaż sama bała się przekroczyć wrota raju małżeńskiego, w myśl przysłowia: „Szewc chodzi bez butów"... Przed laty, jako urocza Karola Amaldi opuściła ona, tuż przed ślubem swego narzeczonego Maksymiliana Riedingera, chociaż kochali się bardzo. Uciekła z Urzędu Stanu Cywilnego, przerażona zbyt gwałtownym usposobieniem Maksa. Dopiero po 20 latach spotykają się przypadkiem byli narzeczeni. Maksymilian dotknięty bardzo ucieczką Karoli, nie mogąc zapomnieć na jaki wstyd go naraziła, przemyśliwał wciąż jakby się na niej zemścić i teraz dopiero ma do tego okazję. Sprawa jest jednak bardziej skomplikowaną niż myślał, bo pani Ida ma córkę Margę, co do której nie ma Maksymilian wątpliwości, że jest jego córką. Marga zaś kocha siostrzeńca pana Maksymiliana. Następuje cały szereg komicznych nieporozumień, w wir których zostają wciągnięci mimo woli klienci pani Idy, adwokaci i służący z córką. Zakończenie tej wesołej komedii zobaczymy na ekranie.

Fot. Tobis



Ilustrowany Kurier Polski — Kraków, [illegible] 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe [illegible]